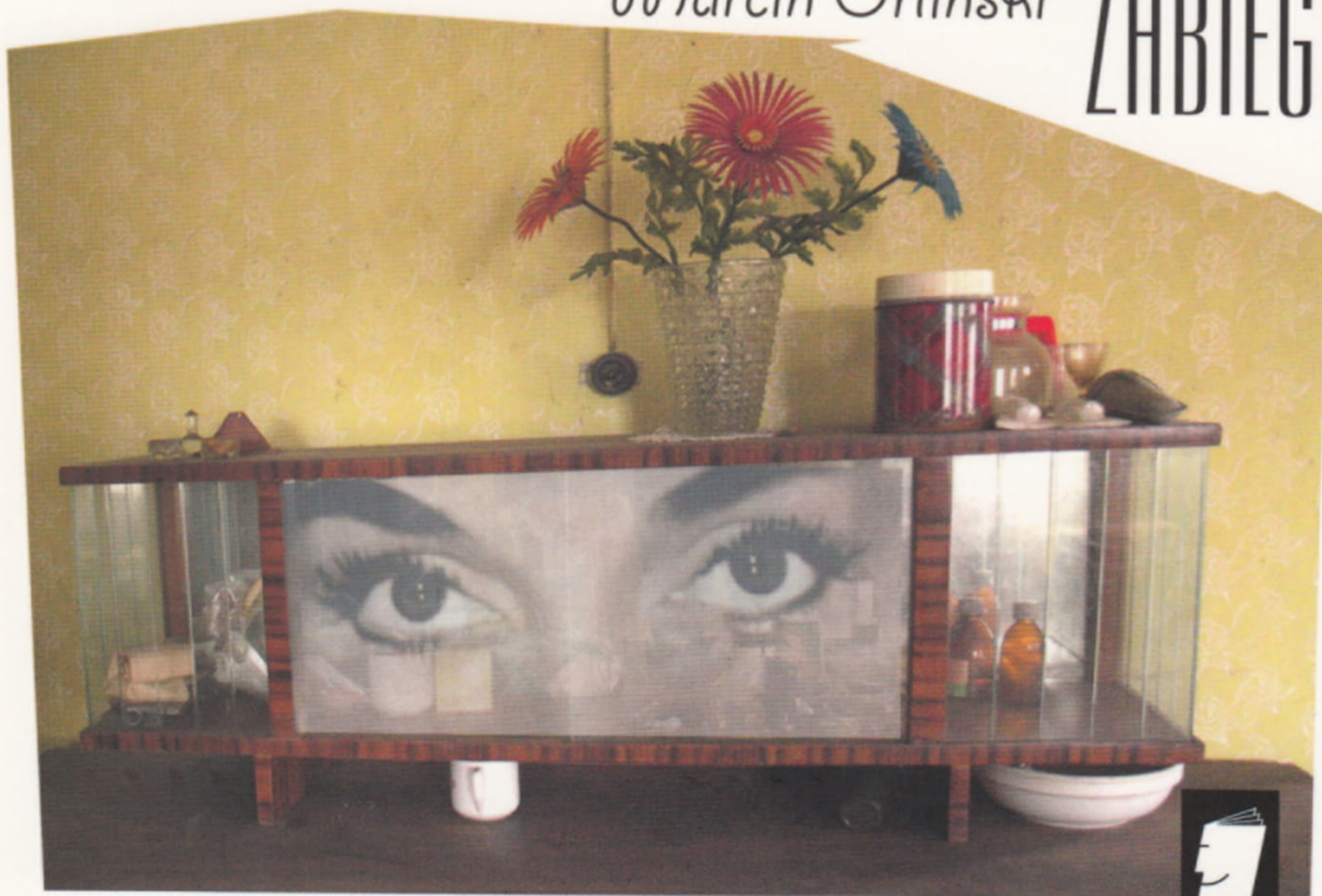




*Marcin Orliński* ZABIEGI



# ZABIEGI



*Marcin Orliński*

# ZABIEGI



WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
I CENTRUM ANIMACJI KULTURY  
W POZNANIU



\*\*\*

Zaprawdę, język będzie się wam płątał, a przedmioty utracą kolory. Nogi zaczną wam ciążyć i postradacie radość z obcowania z braćmi swoimi i siostrami swoimi. Będziecie senni za dnia i pobudzeni w nocy. Czas się zatrzyma, a drzewa i krzewy objawią się wam jako pełne ruchu. Tak będzie, albowiem wyczerpały się wam złoża hydroksyzyny i wyschły źródła lorazepamu. Z paznokci popłynie wam krew. W mózgu zaczniecie odczuwać swędzenie. Będziecie wzbudzali lęk i odrazę. I zaprawdę, przetrane będziecie mieli po całości.

\*\*\*

– A parawan? A ręczniki? A krem do opalania?

Urlop to najgorsza rzecz pod słońcem. Trzeba zmusić szare komórki do wysiłku, dokonać gradacji potrzeb, ustalić priorytety. Na przykład taki dres. Który wziąć? Ten miałem w zeszłym roku. Więc nie. Jeszcze ktoś rozpozna na zdjęciu i pomyśli, że wciąż chodzę w tym samym. Jak jakiś menel. Albo książka. Nie może być za krótka, bo szybko skończę i będę musiał zacząć następną. Zgroza. Za długa też nie. Dotrę tylko do połowy i będę mówili: o, pojechał na wakacje i nawet jednej książki nie przeczytał.

Ale najgorsze i tak zdarza się na koniec. Siadam zziąjany obok zapakowanego plecaka. Wszystko upchnięte, dociśnięte i ugniecione. Plecak wygląda, jakby miał pęknąć. Jestem przekonany, że wykonałem właśnie największą akcję logistyczną od drugiej wojny światowej po tej stronie Odry. Sięgam po kieliszek wina. I właśnie wtedy się okazuje, że jeszcze, kurwa, lekarstwa!

\*\*\*

Aerodyn i Jonoforeza. Nie, to nie bogowie ze skandynawskich mitów, ale zabiegi, które – jak się okazuje – przewidziano dla kuracjuszy w naszym hotelu. Jeśli znajdą się jacyś śmiałkowie, niech Thor ma ich w swojej opiece!



\*\*\*

Hotel stoi przy promenadzie. Krok od głośnej dyskoteki, muszli koncertowej, śmierzącego kebabu i grupki Indian, która – jak się niebawem przekonamy – co rano będzie nas budzić donośnymi okrzykami, zwiastującymi wojnę i chaos.

Dostajemy pokój na parterze. Na oknach ciężkie, złote zasłony. Łóżko: dąb. Pościel: satyna. Również w kolorze złotym. Obok poduszek: białe ręczniki, ułożone – uwaga – w dwa łabędzie. Widać, że manager ds. marketingu długo głowił się nad kompozycją. Nad łóżkiem tandetny pejzażyk. Jaskrawe zielenie i błękity. Ramka: a jakże, złota! Czujemy się jak we wnętrzu perfumowanej trumny.

W takim miejscu pewnie słodko się umiera. Co dosyć prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę, że większość gości jest grubo po siedemdziesiątce. W stołówce prawie sami Niemcy. Starzy, zręczliwi, ponurzy. Mężczyźni poruszają się powoli i patrzą na nas spode łba. W ich oczach czai się smutek i gniew. Kobiety próbują się skryć za grubą warstwą pudru. Zapadnięte usta powiększone jaskrawą szminką, a brwi dorysowane – o podkreśleniu nie może być w tym wypadku mowy – czarną kredką.

- Czy życzą sobie państwo stolik? – pyta kelnerka.
- Dziękujemy. Dzisiaj zjemy na mieście.

\*\*\*

Promenada. Tłum na wpół rozebranych mężczyzn i kobiet. Nagość wylewająca się ze skąpych kostiumów. Nagość obwisła, tłusta i pomarszczona. Do tego zapach. Opary przypalonego oleju zmieszane z duszną wonią kremów i potu. Mam wrażenie, że smród przenika do mojego wnętrza i trafia do krwiobiegu. Podobno w miejscach publicznych najwięcej bakterii jest na klamkach. A co z powietrzem? *Oplata klimatyczna jako rodzaj niezbyt wysublimowanego żartu*, taką dysertację napisać. Albo: *Konsumpcja moczu i kału w Polsce po 1989 roku*.

\*\*\*

„Ogródek w kawiarni”, zachęca reklama. A nie „Kawiarnia w ogródku”?  
Ha, ha, to dylemat na miarę Baudrillarda. Co było wcześniej? Mapa czy  
piwo? Kufel czy literatura?

\*\*\*

Przy stoliku obok dziewczynka ciągnie za rękaw ojca:

– Tato, tato, a kiedy znów pójdziemy pooglądać małpki?

A gdybym jej powiedział, że niedawno w Parku Dzikich Zwierząt Qianling w południowo-zachodnich Chinach małpa podbiegła do małego chłopca, urwała mu jądro i je zjadła? He? Przeciętny goryl, koleżanko, ma siłę sześciu dorosłych mężczyzn. Z gorylem nie ma dyskusji. Gdy go rozdrażnisz, już po tobie. Dwa i pół tysiąca lat filozofii, wielkie systemy religijne, niezliczona ilość koncepcji społecznych – wszystko na nic. Człowiek nie obroni się przed małpą.

Trudno się zresztą dziwić. Małpa człowiekowi małpą, bo i człowiek małpie małpą. Ciasne klatki w ogrodach zoologicznych, laboratoria, eksperymenty naukowe, wiwisekcja. Czy wiesz, koleżanko, na czym taka wiwisekcja polega? To słowo pochodzi z łaciny i oznacza dosłownie „rozdzielanie żywego”. Zwizualizuj to sobie. Więc zwierzęta się buntują. A rewolucja, jak to rewolucja. Dziś chińscy chłopcy, jutro polskie dziewczynki.

I co? Mam jej to powiedzieć? No nie, nie powiem. Zwłaszcza że obok siedzi ojciec. Sto kilogramów żywego mięcha. Łańcuchy i ortalion. Daruję sobie.

\*\*\*

Popołudnie. Błądzimy po Świnoujściu w poszukiwaniu kantoru. Z Prusa skręcamy w Konopnickiej, a potem w Ujejskiego i Sienkiewicza. I gdzie ta Słowackiego? Zniknęła. Po prostu zniknęła! Pstryk i nie ma. Nie wymienimy dzisiaj pieniędzy. I przez wieszczą narodowego nie przejdziemy na stronę niemiecką.

\*\*\*

Przy ulicy Piłsudskiego parafia wojskowa. Toporny, odrapany budynek, w którym kiedyś mieściło się kino Klubowe. Po prawej od wejścia wielka śruba, chyba z kutra rybackiego. Po lewej – kotwica i monumentalny, metalowy krzyż. Najbardziej zdumiewają jednak dwie miny morskie, które ozdabiają przednią część obiektu. Niech się strzegą wrogowie Chrystusa, bo a nuż któraś z nich pierdolnie!

\*\*\*

Jogging. W nim nadzieja. Tak!

Tylko ja, legginsy i ścieżka. Przeciw całemu światu. Przeciw rosyjskiemu zaborcy i germańskiemu najeźdźcy. Przeciw wszelkim zdrajcom, szpiclom i kolaborantom! Owszem, nie wygląda to dobrze. Błyszczący materiał opina się na genitaliach i człowiek czuje się jak tancerz baletowy. (Pozdro dla Niżyńskiego!). Co gorsza, to dopiero *teaser*. Darmowa próbka. Z każdym kilometrem jest gorzej. A na czterdziestym to już istne Kiejkuty. Odwodnienie, niedotlenienie, otarte sutki, zakrwawione paznokcie i halucynacje.

Nie lubię więc biegać. Wręcz nienawidzę. Ale to jedyny sposób, aby nadać dobre rytmy. Ocalić instytucję związku przyczynowo-skutkowego i relację czasowego następstwa.

Wiem, to się nazywa rozpacz.

\*\*\*

Kościół i maszty dziurawią niebo. Tyle, jeśli chodzi o obserwację nudnego nadmorskiego krajobrazu w państwie o nazwie Polska.



\*\*\*

Nie zawsze jest różowo. Nie zawsze świat mi dopinguje, a wszelkie boże stworzenie trzyma za mnie kciuki.

Na przykład psy.

Biegnę alejką osiedlową i już z daleka takiego widzę. Kraina łagodności na czterech łapach, wzór cnót sobaczych z nosem pośród mlecza. Podbiegam bliżej, uśmiecham się do właścicielki – wesola starsza pani – gwizdzę do niego, cmokam, przemawiam jak do niemowlaka. A on, ten miły jamniczek, ten żagiel na horyzoncie podczas bezwietrznego popołudnia, zmienia się nagle w rozwścieczonego bulteriera. W jednej chwili Gandhi, a w następnej – Himmler, całe Waffen-SS, w którym zarządzo no właśnie sraczkę i pękanie wrzodów. Legion śmierci, który ma tylko jeden cel: rzucić się na mnie, rozerwać na strzępy, dokonać ostatecznego rozwiązania kwestii joggingu. Życie ratuje mi niewidzialna smycz, która w ostatniej chwili się napina, a on – oni – to wszystko – zawisa bezładnie w powietrzu. Z tym obrazkiem, na miękkich nogach biegnę dalej.

Ale biegnę.

Widziałem już różne rzeczy. Zwłaszcza w Warszawie. Ciekawskie dzieci i rozanielone staruszki. Mijałem mężczyzn w sportowych uniformach, dla których moja postać stanowiła obrazę uczuć religijnych. Rowerzystów, przekonanych, że jestem palikiem slalomowym. A także Romów, dla których w ogóle mnie nie było. Nie istniałem.

Najdziwniejsza sytuacja miała jednak miejsce dzisiaj. Tu, w Świnoujściu.

Skręcam z Matejki w 11 listopada. Pojawia się dwadzieścia metrów przede mną. Od razu rozpoznaję tę charakterystyczną gestykulację. Ten chód natchniony, pełen buntu wobec trójwymiarowej przestrzeni i niezgody na grawitację. Zauważa mnie. Zastyga. Biodro wypchnięte do przodu. Jedna ręka gdzieś z tyłu, druga wyciągnięta w moją stronę. W świat. W próżnię. Gdybym nie wiedział, w czym rzecz, pomyślałbym, że to komornik podczas pracy. Ewentualnie torreador, któremu właśnie

uciekł byk. Zwalniam, a on traci na chwilę równowagę, jakby to moje zwolnienie wytrąciło go z bezruchu. Mijając go, patrzę mu w oczy. Przez sekundę, ale jestem pewien, że moje spojrzenie pozwala mu wrócić do pionu. Jak niewidzialna smycz.

Otwiera usta, a z jego gardła sypie się lawina dźwięków. Z beładnej masy granitów i sjenitów wyłapuję – tak mi się wydaje – jedno słowo:

– Pornografia!

\*\*\*

Dziś dwie encykliki.

Pierwsza: łatwo pomylić kierunki. Na przykład: idziesz na uniwersytet, a lądujesz na zmywaku.

Druga: do niektórych sytuacji najbardziej pasują metafory spożywcze: bigos, jaja, klops, kiszka i kaszanka.

Właśnie dlatego poszedłem na filozofię.

\*\*\*

Kiedy myślę o Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, jedna postać z grona profesorskiego staje mi przede wszystkim przed oczami. Andrzej Kasia. Żaden pseudonim, najprawdziwsze nazwisko. Andrzej Kasia to legenda. Szaleniec, wybuchowiec. A także melancholik. Fizys miał żółwią, wąs – siwy i rozchwiany. Na co dzień zajmował się filozofią starożytną i średniowieczną, ale źródło jego intensywnej obecności w naszym polu percepcyjnym było zgoła inne. Zaskakiwał nas różnymi niespodziewanymi zachowaniami. Potrafił na przykład uderzyć pięścią w stół z taką siłą, że rozdzwaniały się okna. Pamiętam, jak kiedyś podczas wykładu ktoś ośmielił się wejść mu w słowo. Profesor napiął się, zatrząsł i uderzył. Huk, jaki wywołało zetknięcie jego dłoni z blatem biurka, sprawił, że przez kilka sekund słyszałem tylko pisk. Wszyscy zamarli, a on wycedził:

- Nienawidzę takiego zasaństwa, kołtuństwa i piździelstwa. Właśnie tak: „piździelstwa”.

Oprócz huraganów i tornad, które co chwilę wywoływał, potrafił też zasypywać nas żartami i anegdotami. Oj, był z niego gawędziarz. Zamiast omawiać *List VII* Platona albo *Etykę nikomachejską* Arystotelesa, oddawał się opowieściom o swoim życiu. Rozprawiał więc o byłych żonach, wśród których na plan pierwszy wysuwała się Iga Cembrzyńska. O niezwykłych przyjaźniach, które spontanicznie zawiązywał, a które raptownie się kończyły. Choćby z Jonaszem Koftą. A także o swoich zawałach. Jeden z nich miał miejsce po egzaminie, który przeprowadzał na studiach zaocznych. Wyszedłszy z budynku, profesor udał się na parking. Co działo się potem, nie pamiętał. Kiedy obudził się w szpitalu, zobaczył nad sobą lekarza. Ten spytał:

- Jak się pan czuje, profesorze?
- O, a skąd pan wie, kim jestem?
- A widzi pan, przeprowadzał pan dzisiaj egzamin z filozofii starożytnej, nieprawdaż? Tak się składa, że wśród egzaminowanych była moja żona.

– A to ci dopiero! Godzinę temu egzaminowałem pańską żonę, a teraz moje życie jest w pańskich rękach. I jaką ocenę jej postawiłem?

– Piątkę, panie profesorze.

– No to chwała Bogu!

Andrzej Kasia zmarł w roku 2002. Kilka miesięcy wcześniej odbyłem z nim interesującą rozmowę. Zwierzyłem mu się, że aby rozpocząć studia na filozofii, musiałem rzucić zarządzanie. Profesor spojrział mi w oczy, pokręcił z niedowierzaniem głową i odrzekł:

– Chyba do szczętu pan zgłupiał.

\*\*\*

Ach, profesorowie!

W szóstej albo siódmej klasie podstawówki zmienił się nam nauczyciel muzyki. Pojawił się któregoś dnia. Cichy, brodaty, uduchowiony. Okulary à la Penderecki, lekko przekrzywione. Pognieciona koszula. Grzywka muśnięta niewidzialnym orkanem. Nie pamiętam, jak się nazywał. Przyjmijmy, że miał na imię Ludwik. Pan Ludwik przynosił do szkoły klawisze. Grał nam Dylana, grał Cohena. Ale w międzyczasie, niestety, wymagał. A to jakieś nutki, a to biografia Mozarta. No, tutaj zaczynały się schody. Ja jednak miałem nad kolegami pewną przewagę.

– Wie pan, ja też mam w domu klawisze. – chwałę się któregoś razu  
– Casio. Całkiem niezły model.

I dodaję bezczelnie:

– To może zagram coś, a pan poprawi mi ocenę?

Zerka na mnie znad szkieł, szpera palcem w brodzie.

– Dobrze, zajrzyj do mnie jutro na długiej przerwie.

Zaglądam. Wchodzę do pracowni, a on do mnie już od progu:

– O, jesteś. Słuchaj, klawiszy nie zabrałem, ale na zapleczu stoi pianino.

– Pianino? – stękam przerażony – Mam zagrać na pianinie?

W tym miejscu należy się krótkie wyjaśnienie. Otóż klawisze, na których uczyłem się grać, nie miały klawiatury dynamicznej. Trabant. Frania. Meblościanka w świecie instrumentów. Grały, bo grały. Z pianinem jest inaczej. Wymaga wyczucia. I siły. Nade wszystko doświadczenia. A ja w życiu nie grałem na pianinie. Stąd moja konsternacja. Stąd popłoch.

Nie daję jednak po sobie poznać. Idziemy. W końcu walczę o średnią, o uznanie pana Ludwika, o karierę, o szacunek ulicy. O wszystko! Na miękkich nogach podchodzę do ustrojstwa. Siadam. Co tu zagrać? Co tu zagrać? Decyduję się na jakiegoś Brahmsa. Tak, Brahms będzie idealny. Zaczynam. Idzie mi oczywiście topornie. Klawisze stawiają opór, więc dłonie chodzą po nich coraz bardziej nerwowo. Rzekłbyś: skaczą.

Pokracznie kuśtykam od dźwięku do dźwięku. Histerycznie miotam się między oktavami. Próbuję złapać rytm. Żadnej płynności. Same wertepy.

Zrezygnowany zerkam na pana Ludwika. Godzę się z przegraną. Ale on, o dziwo, kiwa z uznaniem głową. Zaczyna nawet pstrykać palcami.

– Niezły kawałek – uśmiecha się – naprawdę niezły! Czy to jakieś country?

\*\*\*

Dzwoni telefon. Głos w słuchawce pyta, czy to ja. I czy na pewno, czy to rzeczywiście ja. Właśnie czyta mój biogram w internecie. I jest zachwycony. Nie może wprost wyjść z zadziwienia, jakimi fantastycznymi rzeczami się zajmuję. Że nie tylko tym i owym, ale również tamtym i owamtym. I czy to może być.

A ja z każdą chwilą mięknę. Za progiem przecież brudna jesień, kryzys, zło. I dla mojej zbolełej duszy to już nie jest balsam. To przeprowadzana przez telefon profesjonalna odnowa biologiczna. Spa, kąpiele błotne, solarium, masaże relaksacyjne, hydroterapia. All inclusive. Powoli zaczynam odzyskiwać wiarę w literaturę, w Polskę, w człowieka.

I kiedy jestem już przekonany, że oto mam do czynienia z pierwszym dozgonnie oddanym czytelnikiem, on zadaje mi pytanie, do którego od początku zmierzał. Czy mianowicie nie zechciałbym się umówić na niezobowiązujące spotkanie. Ma dla mnie atrakcyjny kredyt gotówkowy.



\*\*\*

Co jest gorsze?  
Życie poza Polską czy w Polsce?

\*\*\*

Najbliższą niemiecką miejscowością jest Ahlbeck. Po polsku: Czernin. Ale miasteczko czarne jest tylko z nazwy. W rzeczywistości rozświetla je mnóstwo białych domków. Podoba mi się surowa elegancja tego miejsca. W przeciwieństwie do polskich kurortów nie słychać głośnej, dyskotekowej muzyki i nie widać pijanych, wytatuowanych mężczyzn. Porządni Niemcy sączą powoli porządne, niemieckie piwo. Przy porządnej, niemieckiej promenadzie brzęczy porządna, niemiecka katarynka. Podejrzewam, że nawet umiera się tu porządnie. Na przykład między godziną ósmą i dziewiątą. I tylko z własnej woli.

\*\*\*

Co kilka przecznic przystajemy i niepewnie rozkładamy mapę. Jest coś uniwersalnego w tym obrazku. Choć nie wiem dokładnie co.

\*\*\*

Das Wort für heute:

Zimne piwsko  
über wszystko!

\*\*\*

Dünenstraße, Heimstraße, Strandstraße, Kurze Straße, Bergstraße, Talstraße, Ferdinand-Egelinski-Straße, Bahnhofstraße, Schulstraße, Schulzenstraße, Wilhelmstraße, Krügerstraße, Kurparkstraße, Vine-tastraße, Neue Dünenstraße, Lindenstraße, Seestraße, Kaiserstraße, Kirchstraße, Kurstraße, Neue Straße, Karlstraße, Friedrichstraße, Ritterstraße, Dreherstraße, Goethestraße, Bismarckstraße, Johann-Koch-Straße, Saarstraße, Friedenstraße, Puschkinstraße, Grenzstraße...

Czy w poprzednim wcieleniu byłem aż tak złym człowiekiem?

\*\*\*

Murzyn?

Tak się już podobno nie mówi. Więc kto? Czarny? Czarnoskóry? Trudno o większy nietakt. Gdybym wiedział, że pochodzi z Nigerii, mógłbym napisać: Nigeryjczyk. Sęk jednak w tym, że równie dobrze może być Francuzem albo Niemcem. Ale... już nie Chińczykiem! No właśnie, dlaczego nie Chińczykiem? Albo Żydem? Nie, nie mógłby. Trudno mi to wyjaśnić.

Siedzi. O tam, przy stoliku. To jedyne, co mogę powiedzieć. Podobno najbardziej wiarygodna jest definicja ostensywna, czyli przez wskazanie. Co mam zatem zrobić? Wyciągnąć w jego stronę palec? To dopiero byłaby niestosowność. Właściwie chciałbym już po prostu nie zwracać na niego uwagi. Ale czy takie zachowanie również nie zakrawałoby na dyskryminację? Co pomyśli, jeśli ostentacyjnie odwrócę teraz od niego wzrok?

A niech go jasna cholera!

\*\*\*

– Szeaszmpana! – zagaduje mnie po polsku mężczyzna w niemieckim sklepie – ijeoszszej... wódka?

Zerkam na niego. Twarz zarośnięta. Skrzyżowanie Bukowskiego z Hemingwayem. Spojrzenie rozbujane. Przechył na lewą burtę. Widać, że rejs nie zaczął się wczoraj, ale trwa od tygodni. Osiem w skali Beauforta. Rozglądam się. Wokół mnóstwo klientów. Schludni i pachnący obywatele Meklemburgii. I co? Mam się z nim bratać? Przy nich wszystkich? Klepnąć go serdecznie po ramieniu? Uściskać jak rodaka na wygnaniu? Ucałować? Nie, rozmowa z tym człowiekiem nie wchodzi w rachubę. Ale zignorować go też nie wypada.

Po chwili namysłu odpowiadam:

– Acht und siebzig Euro!

\*\*\*

W drodze powrotnej z Ahlbeck natrafiamy na tablicę z informacjami o faunie i florze wyspy Uznam. Okazuje się, że spośród ponad dwustu gatunków ptaków, które można tu spotkać, jak dotąd udało się nam zobaczyć tylko mewę śmieszkę i mewę srebrzystą. Najbardziej żałuję, że nie widzieliśmy gągoła. Gągoł wygląda tak, jak się nazywa. Jest czarny i dosyć upiorny. Z ptakami łączy go chyba tylko dziób i skrzydła. Jego demoniczne spojrzenie wskazuje na bliskie pokrewieństwo ze stworzeniami morskimi, bogami wiatru, a może nawet, kto wie, z samym diabłem.

Gdyby nie należał do rodziny kaczkowatych, byłby zapewne wroną. Kiedyś na Saskiej Kępie widziałem, jak wrona zaatakowała wróbla. Przetarçała mu skrzydło, a potem wbiła dziób w jego pierś. Biedak wciąż żył, kiedy rozrywała mu trzewia. Mimo to mam sporo sympatii dla wron. Złośliwe z nich stworzenia. Rzucają kasztanami w przechodniów. Kiedy zaś grzebią w śmietnikach miejskich, do złudzenia przypominają ludzi. Znajdują jakiś skarb, kawałek zatłuszczonej folii albo niedokończoną konserwę. I odfruwają ze zdobyczą na pobliskie drzewo. A gdy już zjedzą, co było do zjedzenia, pozbywają się niepotrzebnego balastu. I kolejny nieświadomy niczego przechodzień dostaje w głowę skórką od banana albo żebrem świni.

Niedawno w Warszawie na kobietę spadł mężczyzna, z siódmego piętra. Złamał jej kręgosłup. Kobieta jest sparaliżowana. Piszą, że to samobójca. Ale ja myślę, że za wypadek odpowiedzialne jest jakieś złośliwe ptaszysko. Jakie? Nie mam pojęcia. Wrona nie dorasta mu jednak do pięt. A tym bardziej gągoł.



\*\*\*

Po trzech pochmurnych dniach w końcu wychodzi słońce. Idziemy na plażę. Rozłożony ręcznik i zimne piwo. Oto spełnienie marzeń polskiej klasy średniej. Morze spokojnie szumi, wiatr cudownie muska nas po plecach. Nad uchem brzęczy niegroźna mucha. Nic nie zakłóci równowagi tego popołudnia.

- Spierdalaj, mucho.
- Spierdalaj, sprzedawco lodów.
- Spierdalaj, Niemcu, Polaku i Żydzie.
- Wszyscy spierdalajcie!

\*\*\*

Nad morzem przestajesz być sobą i zaczynasz być morzem. Odżywasz się morzem. Pijesz morze. I pocisz się morzem. Słowem: pluskasz się w negacjach i tautologiach.

Na przykład dzisiaj. Butelka białego wina na plaży w samo południe wydawała się doskonałym pomysłem. Problem stanowiła jedynie zagrycha. A właściwie jej brak.

Resztę zrobiło słońce.

\*\*\*

Biegajcie, kochani!  
Nie znam lepszego sposobu na kaca.

\*\*\*

Bywam zabójcą.

Jest wczesny wieczór. Leżę w łóżku z książką. *Harmonia caelestis* Esterházy'ego. Wygląda na to, że do końca urlopu nie dotrę nawet do połowy. I nagle słyszę ten cichy, charakterystyczny dźwięk. Brzęczenie w tonacji cis moll, które zawsze rozbudza we mnie najbardziej atawistyczne instynkty. I które w noc ciemną i duszną potrafi mnie doprowadzić do szaleństwa. Odkładam książkę. Wstaję, skradam się, przyczajam pod ścianą. Jest. Plask! Nie trafiam. Ojczulek ucieka. Ale wciąż go słyszę. A może to echo po klaśniećciu? Czekam. Tym razem brzęczenie dobiega z okolicy okna. Mrużę oczy. Już mi się nie wymknie. Plask! Plask!

Otwieram dłoń. Leży w kałuży krwi. Aparat kłująco-ssący złamał się i przykleił do korpusu. Lewe skrzydło przetrącone. Prawe – sterczy samotnie ku górze. Wygląda jak maszt z rozbitej łodzi. Oderwane odnoże jeszcze przez chwilę podryguje. Resztki prądu elektrycznego skaczą po martwych komórkach. Dobijają się do zaświatów.

Jak to dobrze, że nie jestem w swojej walce osamotniony! Po mojej stronie są bowiem tysiące, ba, dziesiątki tysięcy zdesperowanych letników. Anonimowy legion, który nie przebacza i nie zapomina. Ukrywamy się w nadmorskich lasach i na mazurskich plażach. Rośniemy w siłę podczas biwaków i spływów kajakowych. Ale ojczulkowie nie umierają. Ojczulkowie są wieczni. W następnym sezonie powrócą i uderzą ze zdwojoną siłą. Będą nam brzęczeć nad uchem i po cichu wysysać z nas krew. I tak już będzie przez wieki.

\*\*\*

Tymczasem miasto zajął okupant.

Żadne tam miejscowe kółko patriotyczne. Żaden fanklub lokalnej drużyny piłkarskiej. Nie, najprawdziwsza infanteria. Pierwszy Pułk Piechoty Dresowej. Batalion „Ortalion”. Jest ich kilkunastu. Ogolone głowy. Kolana i łokcie rozstawione szeroko. Na kwadratowych ramionach kwadratowe tatuaże. Rozkazy i dyrektywy. Wszystko w gotyku. Sytuacja wydaje się jasna. Będą gwałcić i mordować. Ale najpierw polonizować.

Właśnie odchodzą od budki z goframi. Jeden z nich, ten z dmuchanym morsem, nagle się zatrzymuje. Bita śmietana spływa mu po palcach.

– Czekajcie! Ej, czekajcie, mówię przecież, żebyście poczekali. Głusi, kurwa, jesteście czy jak? Wezmę jeszcze jednego. Dla Dziuni.

\*\*\*

Ciemna opalenizna –  
duma białego człowieka?

\*\*\*

Wyspa Uznam nie jest nasza. Owszem, kawałek należy do Polski, ale większa część znajduje się po stronie niemieckiej. Historia też świadczy raczej na korzyść Niemców. Czy Polska powinna mieć w ogóle własną wyspę? Przecież to takie niepolskie.

\*\*\*

– Ciekawe, co ci Niemcy robili podczas wojny?

– Och, na pewno wszyscy ratowali Żydów.

Prawda jest taka, że wojna wchodziła do tego miasta powoli. Na początku port w Swinemünde stanowił doskonałą bazę zaopatrzenia dla niemieckiej floty. Wojenna mżawka dotarła tu dopiero w 1945 roku. Rosjanie zrównali dworce kolejowe z ziemią, a port – z wodą. Ponad dwadzieścia tysięcy germańskich dusz wyprawiono do niebieskich term. Na sznapsa wśród obłoków.



\*\*\*

- Sięgaj po więcej! Rozwijaj pasje! Podejmuj wyzwania!
- Zrobię, co w mojej mocy – odparł generał Gieorgij Żukow, dowódca I Frontu Białoruskiego.  
Po czym zdobył Berlin.

\*\*\*

A jednak Karsibór i Wolin w całości należą do Polski. Podobnie jak te wszystkie małe wysepki porzucane między Zalewem Szczecińskim, Zalewem Kamieńskim i Bałtykiem. W sumie jest ich czterdzieści i cztery. Przypadek?

Polska zdecydowanie powinna być państwem wyspiarskim. Na początek moglibyśmy wziąć Bornholm. Potem Minorę, Majorkę i Ibizę. Chociaż... Dlaczego właściwie mielibyśmy ograniczać się do wysp? Hajda, na wschód, zachód, północ i południe! Dał nam przykład Bonaparte! Kierpce dla Tatarów. I cizemki dla Eskimosów. Wielka Polska od bieguna do Sahary!

\*\*\*

W tym miejscu mógłby się pojawić dłuższy opis przyrody.

Ale się nie pojawi. Nie jestem zwolennikiem zanudzania czytelnika rozwlekłymi zdaniem, które niewiele wnoszą do książki. Nie lubię, gdy osoba, która słucha mojej opowieści, zaczyna ziewać i przewracać oczami. Gdy podnosi nagle prawą dłoń, by przyjrzeć się jakiemuś niewidocznemu pieprzykowi na wewnętrznej stronie serdecznego palca. Gdy udaje jeszcze, zapewne przez grzeczność, że informacje o liczbie piegów i zmarszczek na licu matki natury są fascynujące, ale tak naprawdę wolałaby już zmienić temat. A ja kontynuuję, bo jestem przecież po drugiej stronie, w dziwnej bańce opowieści. I tłumaczę, że przy leśnej drodze, która prowadziła na pole namiotowe, stało kiedyś przekrzywione drzewo. Sosna. I że nie była to zwykła sosna. Nad morzem większość drzew pochylona jest w kierunku łądu. Sile jesiennych i zimowych wiatrów nie oprze się żaden nadmorski las. I że kąt nachylenia tej sosny był znacznie większy niż innych drzew, a jej pień był tak gruby, że... I w ten właśnie sposób zaczynam doprowadzać słuchacza lub słuchaczkę do szału. Kiwa głową, owszem, ale już nie słucha. Mruga nerwowo oczami, drapie się po szyi i zastanawia nad zbawiennymi minutami, które nadejdą, gdy skończę.

Nie będzie opisu przyrody.

Nie napiszę o przechylonej sośnie, która witała nas zawsze na owej leśnej drodze w pierwszy dzień wakacji. Która była jednym z głównych punktów odniesienia na wakacyjnych mapach, drogowskazem. Obietnicą rzeczy wielkich i cudownych. Mijaliśmy ją, a już za chwilę wśród drzew zaczynało migotać pole namiotowe, cel naszej podróży. Nie napiszę o ciszy, która wybuchała w uszach, gdy się już wysiadło z samochodu. Ani o intensywnym zapachu runa leśnego, który w pierwszej chwili niemal rozrywał nozdrza. Nie wspomnę o wąskich, tajemniczych ścieżkach na plażę. Gdybym spróbował opisać te zielone tunele, duszne od kurzu i od słońca złote, musiałbym również napomknąć o topografii terenu i znajdujących się w okolicy obiektach. Opis rósłby i potworniał.

Jego pnącza zarastałyby mi twarz, wślizgiwały się do ust, odbierały dech. Powiałyby puszcza. I pustynią. Może nawet akermańskim stepem. Zgroza.

Nie będzie opisu przyrody. Na myśl o kilkustronicowej relacji na temat nadmorskiego boru bażynowego robi mi się niedobrze. Perspektywa rozpisania jednej szyszki na tuzin obrazów i dwa tuziny zapachów przyprawia mnie o zawroty głowy. Nie nakreślę wiernego obrazu fauny i flory Pobrzeża Kaszubskiego. Ilekroć chwyciłbym się jednego kawałka kory, ten natychmiast ustępowałby miejsca innemu. Cóż to zresztą znaczy: jeden kawałek kory? Jak duży kawałek? W jakim kształcie? Jakie światło nań padało, kiedym swoją atencją powoływał go tamtego lata do istnienia? Jaka pora dnia nadała mu barwę i ciężar? W jednym kawałku kory mieści się przecież wszechświat: zapach brezentu, płot z drewnianych belek, Jezioro Kopalińskie, opuszczona wieża widokowa, pasmo bezludnych wydm, niebieski plastik wśród piasku, struganie łuków, ratowanie motyli i ucieczka przed burzą. Nade wszystko ludzie, ludzie. Ich zabawne dąsy i płąsy wśród nadbałtyckich traw. Ja, moja siostra, nasi kuzyni. A także wszystkie dzieci, które tamtego lata poznaliśmy. Pierwsze przyjaźnie. Pierwsze miłości. I złości pierwsze. Ości. Tysiące ości.

Aby stworzyć wiarygodny opis przyrody, musiałbym przerobić cały ów chaos na poręczny i w miarę znośny kosmos. Oddzielić od siebie splątane wrażenia. Wyrwać je z żywiołu pamięci i niepamięci. Posegregować. Ułożyć obok siebie, tak jak na tylnej półce samochodu układało się grzyby do suszenia. Musiałbym nadać słowom rytm, a zdarzeniom – kolejność. Słowem: zbudować narrację, spacyfikować otchłań. W efekcie powstałby wypiek, który mógłbym zaserwować na przykład podczas niedzielnego podwieczorku.

– Och, jaki ładny opis przyrody – oznajmiłby dżentelmen po drugiej stronie stołu.

– To musiały być wyjątkowe wakacje – dodałaby siedząca obok niego dama, po czym zanurzyłaby łyżeczkę w różowej bezie. – Czy komuś jeszcze herbaty?

\*\*\*

A z wieżą widokową było tak.

W lesie między drogą dojazdową do pola namiotowego a plażą znajdowała się niegdyś jednostka wojskowa. Zamknięto ją na przełomie lat 80. i 90. Pozostały po niej dwa małe budynki i wieża obserwacyjna. Zakradaliśmy się tam z kolegami, przedostawaliśmy przez płot i eksplorowaliśmy terytorium przeciwnika. Dziki, opustoszały teren, w którym rezydowały tylko jaszczurki i pszczoły, idealnie się nadawał na walkę narodowowyzwoleńczą. Wróg był bez szans. Schwytanym stworzeniom urządzaliśmy małe Guantanamo. Jaszczurkom obcinałymi ogony. Chcieliśmy się przekonać, czy zgodnie z zasłyszaną plotką po kilku dniach odrosną. Pszczoły łapaliśmy do słoików. Soczewka zrobiona z okularów zamieniała wiązkę promieni słonecznych w niszczycielski laser.

Zaiste, piekło jest w rękach dziecka.

Potem przyszedł kapitalizm. Potężny i – jak my – infantylny. Zburzył jedno mury, by zbudować inne. W odmalowanych budynkach urządzono bar. Typowe nadmorskie menu: ryby, frytki i gofry. Później ofertę rozszerzono o pizzę i kebab. Lokal cieszył się dużym zainteresowaniem wśród turystów. Za dnia karmił, a nocą – poił. Letnicy mogli do białego rana rozprawiać o miłości, śmierci i schodzącej z pleców skórze. A wieża stała nad nimi. Przez pewien czas była chyba nawet otwarta dla zwiedzających, ale później jej stan się pogorszył, więc wejście zakratowano. I tylko od czasu do czasu jakiś zbłąkany urlopowicz wdrapywał się na nią, oszołomiony blaskiem księżyca albo tanim winem.

Którejś wyjątkowo dusznej i lepkiej nocy obudził nas nagle dźwięk trąbki. Odgłosy z baru raczej nie docierały do pola namiotowego, ale trąbka – łatwo się niosła po lesie. Jej drażniący dźwięk, pełen zresztą fałszywych tonów, szarpał na kawałki jednolitą tkankę nocy. Myśleliśmy, że może za chwilę przestanie. „Śpijmy”, uspokajała matka. „Śpijmy, śpijmy”, dodawał ojciec. Ale spać się nie dało. Kolejni zaspani letnicy wychodzili z namiotów, próbując namierzyć źródło hałasu. Z zapoconych

śniworów wylażyły pańcie z pogniecionymi trwałymi i brzuchate misie w dresach. Lubiatowski las zaludniły tłumy żywych trupów. Po chwili okazało się, że mężczyzna z trąbką siedzi na samym czubku wieży. Pijany i głuchy na wszelkie prośby. Co robić? Co robić?

- Zadzwoń na policję!
- Wezwaj straż przybrzeżną!
- Zamknąć drania!
- Chuligana ukarać!
- Na izbę wytrzeźwień z nim!
- Skandal, skandal!

W końcu ktoś wpadł na pomysł, by obudzić kierownika pola namiotowego. Niech on się martwi. Niech on odpowiada. To jego rewir. Tak też się stało. Kolektyw udał się do przyczepy campingowej obok recepcji. Kierownik był mężczyzną niezwykle spokojnym i opanowanym. Jestem pewien, że w wolnych chwilach oddawał się lekturze Marka Aureliusza. Wstał, założył bluzę i okulary, po czym udał się w stronę wieży, wiedziony obowiązkiem i troską o losy imperium. Po chwili trąbka ucichła. Dźwięk urwał się nagle, jak hejnał mariacki, a nasze niedawne oburzenie ustąpiło niekłamanemu podziwowi dla kierownika. Kiedy ten wrócił, wszyscy otoczyli go kółeczkiem.

- Jak się panu udało uspokoić tego mężczyznę?
- Ależ pan szybki!
- Co pan z nim zrobił?
- To niezwykle!
- Niewiarygodne!
- Brawo!

Ten wzruszył ramionami i ziewnął:

- Nic szczególnego. Wszedłem na wieżę i zabrałem mu trąbkę.

\*\*\*

Myślę o Robinsonie. Choć powieść Daniela Defoe była wzorowana na losach szkockiego żeglarza Aleksandra Kirka, jakoś uwiera mnie bohaterstwo głównego bohatera. Wyobrażam sobie wyspę, na którą trafia słaby, przerażony rozbitek. Wyobrażam sobie zagrożenia, którym nie potrafi sprostać. I samotność. Potworną, beznadziejną. Taką, która nawet najtwardsze charaktery doprowadza w końcu do oblędu. – Oto gałąź. Oto lina upleciona ze strzępów koszuli. Na linie marynarz Crusoe.

\*\*\*

Wieczór. Siedzimy w pokoju hotelowym. Z dyskoteki, tej obok, dobiega głośna muzyka. Jak gdyby nigdy nic wydarza się to, co nazywamy turystyką. A przecież przez ostatnie tysiąc lat okolica wciąż zmieniała właścicieli. Świnoujście należało kolejno do Polski, Danii, Szwecji, Prus i Niemiec. Ostatecznie, po drugiej wojnie światowej, znowu wróciło do Polski. (Pozdro dla Stalina, Churchilla i Roosevelta).

Zerkam w stronę okna. Wokół karnisza kręci się coraz więcej małych muszek. Pewnie wleciały tu zwabione światłem. Nad nimi wygrzewa się wielki, spasiony pająk.

– Dzień dobry, panie kolego.



\*\*\*

Przeklęty gender!

Dziś już nie wystarczy się golić. Twarz mężczyzny powinna być gładka i pachnąca. Czysta jak muszla klozetowa i wypolerowana jak bidet. Więc się golę. Golę ten zniewieściały ryj, chociaż owłosienie u mnie jak u sfinksa kanadyjskiego. Najpierw pianka, potem maszynka. Zaczynam od żuchwy, przechodzę do policzków i górnej wargi, a kończę na grdyce. Wyobrażam sobie, że karczuję powierzchnię Ziemi. Usuвам wszystko, co nie pasuje do wizji sterylnego i symetrycznego świata. Od lewej do prawej. *Drang nach Osten*. Nie mogę pominąć ani jednego włoska.

Ale maszynka nie goli. Nie potrafi sobie poradzić nawet z najdelikatniejszym meszkiem. Skóra jest coraz bardziej czerwona. Buntuje się. Ogniska rewolucji pokrywają coraz większą powierzchnię szyi. Dotykam. Boli. A zarost prawie nienaruszony. Więc jeszcze raz. I jeszcze. Mocniej. Podnoszę głowę, żeby mieć lepszy ogląd. Cała szyja pokryła się czerwonymi kropeczkami, z których zaczyna płynąć krew. Niech to szlag! Wyglądam jak bohater taniego horroru. Jak niskobudżetowy zombie.

Chyba przerzucę się na brzytwę.

\*\*\*

Plaża. Obok nas dwie dziewczyny rozkładają ręczniki. Przez cały czas jedna trajkocze do drugiej:

– Na co ona mi bla, bla, bla, że co ja sobie myślę, że ja to nie miałam nigdy chłopaka, więc nie wiem, jak to jest. Na co ja jej, że owszem, nie miałam, ale nie trzeba od razu mieć chłopaka, żeby wiedzieć, że chłopak nie powinien klepać po tyłku twojej najlepszej przyjaciółki. Na co ona mi bla, bla, bla, że prawdziwa miłość, że związek, że trzeba wybaczać, pierdu, pierdu. Na co ja jej, żeby się lepiej zastanowiła nad sobą, a ona właśnie wtedy odkłada słuchawkę. No mówię ci, masakra.

\*\*\*

Smażalnia. Mężczyzna za barem rozmawia przez telefon, wycierając jednocześnie naczynia. Słuchawkę przytrzymuje sobie ramieniem:

– Kochanie, przecież wiesz, że miałem ciężką noc. Skończyliśmy po czwartej. Proszę, zrozum, jestem wykończony. I naprawdę nie mam siły ci tego teraz tłumaczyć. Oczy mi się kleją, a muszę jeszcze posprzątać i ogarnąć dostawę. Kochanie, ja naprawdę ledwie żyję, więc, proszę, nie pierdol mi teraz o jakimś latawcu.

\*\*\*

Sklep osiedlowy. Kręcę się między stoiskami i nagle widzę, jak jakaś kobieta zanurza dłoń w beczce z kiszonymi ogórkami. Wyciąga jedną sztukę, nadgryza i wrzuca z powrotem. Nie, nie robi tego ukradkiem, tak żeby nikt nie zauważył. Jej ruchy świadczą o wprawie i pewności siebie. Z miną wytrawnego znawcy i najlepszej klasy degustatora wykrzywia usta, kręci głową, a następnie wolnym krokiem odchodzi w kierunku innego stoiska. Zawsze wiedziałem, że moje pokłady tolerancji i zrozumienia dla rasy ludzkiej w końcu się wyczerpią. I to jest właśnie ten moment.

\*\*\*

Cierpię.

Bo jakże nie cierpieć w kraju, który cierpieć musi? Który cierpieniem stoi i cierpieniem wypracowuje produkt krajowy brutto? Który cierpieniem zasila giełdy i gazociągami dostarcza cierpienie do każdego gospodarstwa domowego. Idę na plażę, żeby się poopalać. I cierpię. Wchodzę do lodowatej wody. I cierpię. Jem frytki smażone na wczorajszym oleju. I cierpię. Wydaję ostatnie pieniądze na kretyńskie pamiątki. I cierpię. Piję. I cierpię. Trzeźwieję. I cierpię. Tęsknię. I cierpię. Nie tęsknię. I także cierpię. Każdego dnia dokonuję bezpardonowego ataku na siebie, a potem sam sobie oddaję.

Ale najbardziej cierpię, kiedy ogryzam paznokcie. Ogryzanie to zresztą tylko część wielogodzinnej, złożonej operacji na otwartym palcu. Wyrывam odstające skórki i wycinam postrzępione fragmenty rogowej płytki. Proces ten sprzyja jednak powstawaniu nowych nierówności. Więc jeszcze. I jeszcze. Kiedy znika brzeg paznokcia, zabieram się za hyponychium, czyli część naskórka pod jego przednią częścią. Tkanka jest coraz bardziej mięsista. Usuwam kolejne włókna, a mój palec staje się jedną wielką raną.

Jeśli mam pod ręką obciążki, operacja przebiega szybko i sprawnie. Gorzej, gdy muszę poradzić sobie w inny sposób. Na przykład użyć noża kuchennego, skuwki długopisu albo klucza. Zabieg przybiera wówczas formę wyrafinowanej tortury, w której poziom okrucieństwa ograniczony jest tylko przez kreatywność kata. Moje cierpienie wchodzi wtedy w fazę ekstatyczną. Zaczyna obejmować kolejne partie ciała. Wielogodzinne skupienie w pozycji sokratejskiej wywołuje ból pleców. Mięśnie rąk i nóg zaczynają drżeć. Od narastającego stresu zaczyna mnie boleć głowa. Zimny pot spływa mi po skroni.

Tak, teraz mogę już z ręką na sercu powiedzieć, że cierpię. Cierpię naprawdę. To moja Kartagina. Tfu, Itaka.

\*\*\*

Niemiec Niemca nie oszwabi. Polak Polaka – owszem.

Restauracja. W środku naprawdę zacnie. Obrusy – nie obrusy. Świece – nie świece. Zamawiamy makaron ze szpinakiem i sałatkę. Do tego po kieliszku czerwonego wina. Wino przynoszą prawie natychmiast. Próbujemy. Jedzie siarą. Trudno, jedzenie z pewnością będzie lepsze. Mija trzydzieści minut. Czterdzieści. I pięćdziesiąt. Mija kilka kieliszków siary. W końcu dostajemy obiad. Kilka plastrów pomidora skropionych oliwą i makaron z wody zabarwiony na zielono.

– Bardzo przepraszamy, że tak mało sosu, ale szpinak właśnie się skończył – oznajmia Herr Ober. – Może jeszcze kieliszeczek wina?

\*\*\*

Albo takie menu. Czyż to nie perwersja, że okładka oklejona jest skórą? Na zewnątrz skóra, a w środku te wszystkie schaby, wątróbki i cielęciny. Rzeźnia. Choć w gruncie rzeczy wypatroszona już z okrucieństwa, wygarbowana w produkt.

Ukradliśmy kiedyś takie menu z jednej restauracji w Warszawie. Wynieśliśmy je pod kurtką i zakopaliśmy w klombie z kwiatami. Spóźniony, ale jakże piękny pogrzeb.

Dodam, że nie byliśmy wtedy trzeźwi.

\*\*\*

Co mnie nie zabije, to mnie wpędzi w depresję.



\*\*\*

– Kopsnij szluga – zastępuje mi drogę kolo na promenadzie. Dwa metry wzrostu. Sto dwadzieścia kilo chrypy i ośpienia.

– Szanowny panie – mógłbym odpowiedzieć – cóż za impertynencja! Nie wstyd panu posługiwać się tak niewyszukanym słownictwem? Obcych ludzi niepokoić? Zresztą ja nie używam wyrobów tytoniowych. W ogóle gardzę używkami. W przeciwieństwie do ludzi pana pokroju prowadzę zdrowy i aktywny tryb życia. Żegnam!

Zamiast tego robię krok w tył i mówię:

– Bardzo mi przykro, niestety nie palę.

\*\*\*

Albo taka gitara. Kiedy miałem dwadzieścia lat, piosenki wylewały się ze mnie. Strzelałem piosenkami i podkładałem piosenki pod czołgi przeciwnika. Słowem: chciało mi się. Byłem człowiekiem wiary. Pełnym entuzjazmu, choć pewnie niezbyt rozgarniętym szeregowcem, którego rzucono właśnie na front. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, co i jak. Sięgnąłem po Clausewitza i Sun Zi. I co? Jakoś przestało mi się chcieć.

\*\*\*

– Nudzi mi się – mówi w kawiarni chłopiec do matki.

Byłem kiedyś tym chłopcem. Pamiętam, jak matka odpowiadała mi w takich sytuacjach:

– Inteligentni ludzie zawsze mają co robić. Zajmij się czymś. Poczytaj książkę.

– Zawsze? – ripostowałem w myślach. – Nawet, gdy są przywiązani do drzewa? Nawet, gdy mają przywiązaną głowę i nie mogą nią kiwnąć? I gdy ręce i nogi mają tak związane, że nie mogą nimi ruszać? Czy wtedy też mają co robić?

Teraz myślę, że nuda to nie brak zajęcia. To rodzaj melancholii.

\*\*\*

Rozumiem: ja, moi koledzy, dzisiejsi trzydziestolatkowie, nie mówiąc już o osobach młodszych. Słowem, całe pokolenie selfie, dla których wirtual i real w jednym stały domu. Ale staruszka?

Siedzi dwa stoliki dalej. Przed nią: filiżanka kawy i smartfon. Jeśli technologia dopadła nawet takich ludzi, ludzi z krwi i kości, ludzi prawdziwych, trójwymiarowych, to wiedz, że coś się dzieje. Że świat się skończył, umarł, został przerobiony na mielonkę z bitów.

Lubisz to?

Przyznaj, że to lubisz.

\*\*\*

Rozmawiam na fejsie ze znajomym, z którym często wymieniamy uwagi o charakterze intelektualnym i snobistycznym. Pyta, co u mnie. Odpisuję, że wyjechałem do kurortu.

– Kurort? Cudownie! Nie ma lepszego miejsca na kontemplację niż zamknięta, dobrze zorganizowana przestrzeń, w której całe zło tego świata ulega zawieszeniu. To przecież coś na kształt Disneylandu, który staje się obrazem społecznej rzeczywistości *à rebours*. To, co foldery reklamowe nazywają relaksem i odpoczynkiem od miejskiego zgiełku, jest przecież w gruncie rzeczy mniej lub bardziej rozpaczliwą ucieczką.

– Niby tak – odpowiadam. – Ale od hemoroidów, kochanieńki, nie uciekniesz.

\*\*\*

Wszystko się już zdarzyło.

To zdanie ciągle za mną chodzi. Wygląda spod budek z lodami i zastępuje drogę na leśnej ścieżce. Rozkłada się pod wydrami i przyczaja pod parawanem. Wysyła mi obsceniczne zdjęcia. Składa niedwuznaczne propozycje. Rozbiera się przede mną. Grozi. A najbardziej doskwiera w południe, kiedy słońce staje w zenicie i nie mam się gdzie schować. To już nie są, proszę państwa, zaczepki. To najprawdziwszy stalking.

Wszystko się już zdarzyło. Powtarzam w myślach to szalone epitafium. A właściwie ono powtarza mnie. Dzisiaj już minęło. I jutro. I ten dzień, który przyjdzie po nim. I lato. Przyszłe lata. Tak, ich także nie ma. I ta bliska osoba, która przed chwilą do mnie zadzwoniła. I recepcjonistka w czerwonej bluzce. I kelner. I nawet to dziecko z watą cukrową, która jest większa od niego. Nawet ono.

\*\*\*

W internecie znajduję zdjęcie Ziemi zrobione z odległości sześciu miliardów kilometrów. Tytuł: *Pale blue dot*. Fotografię wykonała sonda Voyager I, kiedy mijała Neptuna. Tym właśnie jesteśmy. Błędym niebieskim punktem na tle czarnego, zimnego kosmosu. Pijackim kaprysem materii pośród międzygwiazdnej zawieruchy. Małą, nic nie znaczącą gminą gdzieś na zadupiu galaktyki. Na tych kilku pikselach można oznaczyć całą ludzkość, wszystkie jej osiągnięcia, marzenia i problemy.

Cieszymy się więc tą sobotą. I szczerze się dzisiaj napijmy za nasz wspólny, przesądzony już dawno los.

\*\*\*

„Moje picie to jest noc księżycowa, wielkie uspokojenie”. „Kiedy zacząłem pić, nie wiedziałem jeszcze, co ze mną zrobi alkohol, że się przez niego stanę jakimś dziwnym upiorem, wiecznie niewyspanym”. „Alkohol jest to, proszę panów, skok, skok barbarzyńcy, który poczuł Boga!”. „Tylko co to takiego, to picie. Niejedna chwiejna odpowiedź na to pytanie już padła”.

Pobawicie się ze mną?



\*\*\*

Z nudów postanawiam obliczyć odległość od plaży do horyzontu. Żadna tam wyższa algebra. Zwykły Pitagoras. Stajesz na brzegu i patrzysz na kreskę. Przy okazji widząc siebie patrzącego na kreskę. (Pozdro dla Freuda!). A gdzie trójkąt? Jesteś otóż jednym z jego wierzchołków. (Pozdro dla Marksa!). Drugi wierzchołek to punkt, w który patrzysz, a trzeci to środek Ziemi. (Pozdro dla Nietzschego!). Powiedzmy, że twoje oko znajduje się dwa metry nad poziomem morza. Myk, myk. I już. Równanie rozwiązane. Stoisz w odległości pięciu kilometrów i czterdziestu ośmiu metrów od horyzontu. Od nieskończoności.

\*\*\*

Kto się nudzi, ten nigdy nie zazna nudy. Choć słońce rozświetla plażę, wszystko wydaje się przesiąknięte cieniem. Wodzę wzrokiem po pólnagich ciałach mężczyzn i kobiet. Wyglądają jak wycięte z papieru. Mrużę oczy. Ludzie, plaża, parasole, morze i niebo – wszystko rozsypuje się w ziarnistą, beładną masę. Odczuwam dziwną, perwersyjną przyjemność na widok tego rozczłonkowanego istnienia. Tak jakby wszystko wracało na chwilę do swojej pierwotnej formy. Do prochu. Coś cudownego.

\*\*\*

- Puchatku?
- Tak, Prosiaczku?
- Czy my na koniec giniemy?
- Owszem – odparł Puchatek. – Giniemy.

\*\*\*

– W czym mogę pomóc? – pyta kobieta w warzywniaku.

Zerkam na nią. Miejscowa. Duże, jak się zdaje, doświadczenie w spożywaniu substancji palnych. Referencje: opuchnięty nos, sieć bordowych żyłek na skroni, grzywka kołysząca się od tłuszczu. I troska. Troska przyklejona do oblicza. A raczej: oblicze uwieszone u troski. Od razu robi mi się jej żal. Bo przecież z tej rozdziobanej fizys można wyczytać wszystko: przekleństwa kapitalizmu, zbliżającą się jesień, Polskę.

Po chwili namysłu odpowiadam:

– Obawiam się, że w niczym.

\*\*\*

Jestem z Ciebie dumna!  
Podpisano: Trumna.

\*\*\*

Dochamianie. Taki obowiązek powinni mieć wszyscy zawodowi humaniści. Wyjechać do kurortu. Wystawić na pośmiewisko swoje brzydkie ciało. Podwyższyć sobie poziom cholesterolu. Nadwerężyć wątrobę. Takie „dochamianie”, nie mylić ze „schamieniem”, byłoby więc na dłuższą metę czymś na kształt „uchamienia”. Przy czym przedrostek „u” miałby tu taką samą wagę jak w słowie „ubogacenie”.

\*\*\*

Pamiętacie doradcę finansowego, który chciał mnie pozyskać za pomocą pochlebstw? Wycwanił się. Dzwoni czasem i zaczyna od zwierzeń. Kumpla udaje. Bratnią duszę. Ale dzisiaj znalazłem chyba na niego sposób.

Odebrałem, a on spytał, co zrobiłbym na jego miejscu. Bo otrzymał właśnie niewielki, ale też nie tak znowu mały, spadek po babci. Babcia zamożna nie była, jednak coś tam sobie odłożyła. Prosta kobieta. Prosta, ale – podkreślmy – zaradna. Czy roztrwoniałbym? Pozwolił, by nominal z każdym dniem tracił na wartości, wysychał? Czy raczej wykazałbym się rozsądkiem, właściwą dla swojego wykształcenia i horyzontów odpowiedzialnością. I w mądry sposób zainwestował. Taki fortel.

– Drogi panie – odparłem – z chęcią podjąłbym z panem współpracę i dał panu wszelkie niezbędne pełnomocnictwa. Tak, możliwe, że w grę wchodziłyby nawet znaczne kwoty, czemu nie. Lokaty, nieruchomości, no, proszę pana, razem zdobywalibyśmy rynki, rozbijali giełdy. Świat byłby nasz. Problem jednak w tym, że ja jestem zupełnie goły. Golusieńki. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Moje konto zieje przeraźliwą pustką, mroźny wiatr hula pośród zer. Absolutny brak. Błade, okrągłe nic.

Tego się chyba nie spodziewał. Zamilkł, a po chwili odrzekł tamiącym się głosem:

– Więc... Więc cóż? Mam pana skreślić? No dobrze, skreślam pana. Do widzenia.

\*\*\*

Coraz bardziej nienawidzę świata.  
Na pocieszenie dodam, że bezinteresownie.



\*\*\*

Pakujemy zapiaszczone ubrania, niedokończone krzyżówki, dmuchane zabawki i bierzemy swoje blade dupy w troki. Świat świętuje. Miasto żegna nas fajerwerkami. W porcie wyją syreny. Handlarze sprzedają pańską skórkę. Indianie odprawiają rytualne tańce. Mieszkańcy podnoszą dzieci nad głowy i pokazują nas palcami. Fletnie, antary, gwizdki, grzechotki i marakasy. Wesola defilada ogłasza nasz wyjazd.

To już koniec, *finito*, ostateczny kres wakacyjnej męki.

\*\*\*

Odliczamy minuty do odjazdu. Nagle do przedziału wchodzi konduktor.

– Przepraszamy, ale pociąg odjedzie z czterdziestominutowym opóźnieniem.

– Jak to? Czy coś się stało?

– Nic takiego, po prostu czekamy na maszynistę.

– Ach, pewnie zasnął? W końcu dziś niedziela...

– Nie. Jedzie z Warszawy. Tym pociągiem, który ma opóźnienie osiemdziesiąt minut.

\*\*\*

W pociągach najbardziej nie lubię kibli.

Mam taką wizję: stoję, a właściwie chwieję się nad muszlą klozetową, próbując się nie ochlapać, i nagle słyszę olbrzymi huk. Szczęk żelaza, krzyki przerażonych ludzi. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie udaje mi się nawet zapiąć rozporka. Pstryk. I ciemność.

Tego chyba najbardziej się boję. Że umrę z wackiem na wierzchu.

\*\*\*

Stało się. Wyrósł we mnie menel. Obrodził w lipcu jak lipa. Zawisł ciężkimi szypułkami nad Majestatem Rzeczypospolitej. „Tu jest Polska!” – krzyczy zachrypłym głosem.

To już ostatnia encyklika. Zróbcie z nią, co chcecie.

Albo i nic nie róbcie.

## Spis treści

*** [Zaprawdę, język będzie się wam plątał...]	5
*** [– A parawan? A ręczniki? A krem do opalania?]	6
*** [Aerodyn i Jonoforeza.]	7
*** [Hotel stoi przy promenadzie.]	8
*** [Promenada.]	9
*** [„Ogródek w kawiarni” ...]	10
*** [Przy stoliku obok dziewczynka...]	11
*** [Popołudnie.]	12
*** [Przy ulicy Piłsudskiego parafia wojskowa.]	13
*** [Jogging. W nim nadzieja. Tak!]	14
*** [Kościół i maszty dziurawią niebo.]	15
*** [Nie zawsze jest różowo.]	16
*** [Dziś dwie encykliki.]	18
*** [Kiedy myślę o Instytucie Filozofii Uniwersytetu...]	19
*** [Ach, profesorowie!]	21
*** [Dzwoni telefon.]	23
*** [Co jest gorsze?]	24
*** [Najbliższą niemiecką miejscowością jest Ahlbeck.]	25
*** [Co kilka przecznic przystajemy...]	26
*** [Das Wort für heute:]	27
*** [Dünenstraße, Heimstraße, Strandstraße...]	28
*** [Murzyn?]	29
*** [– Szeaszmpana!]	30
*** [W drodze powrotnej z Ahlbeck...]	31
*** [Po trzech pochmurnych dniach...]	32
*** [Nad morzem przestajesz być sobą i zaczynasz być morzem.]	33
*** [Biegajcie, kochani!]	34
*** [Bywam zabójcą.]	35
*** [Tymczasem miasto zajął okupant.]	36
*** [Ciemna opalenizna...]	37
*** [Wyspa Uznam nie jest nasza.]	38
*** [– Ciekawe, co ci Niemcy robili podczas wojny?]	39

*** [- <i>Sięgaj po więcej!</i> ]	40
*** [ <i>A jednak Karsibór i Wolin w całości należą do Polski.</i> ]	41
*** [ <i>W tym miejscu mógłby się pojawić dłuższy opis przyrody.</i> ]	42
*** [ <i>A z wieżą widokową było tak.</i> ]	44
*** [ <i>Myszę o Robinsonie.</i> ]	46
*** [ <i>Wieczór. Siedzimy w pokoju hotelowym.</i> ]	47
*** [ <i>Przeklęty gender!</i> ]	48
*** [ <i>Plaża.</i> ]	49
*** [ <i>Smażalnia.</i> ]	50
*** [ <i>Sklep osiedlowy.</i> ]	51
*** [ <i>Cierpię.</i> ]	52
*** [ <i>Niemiec Niemca nie oszwabi.</i> ]	53
*** [ <i>Albo takie menu.</i> ]	54
*** [ <i>Co mnie nie zabije, to mnie wpędzi w depresję.</i> ]	55
*** [- <i>Kopsnij szluga...</i> ]	56
*** [ <i>Albo taka gitara.</i> ]	57
*** [- <i>Nudzi mi się...</i> ]	58
*** [ <i>Rozumiem: ja, moi koledzy...</i> ]	59
*** [ <i>Rozmawiam na fejsie ze znajomym...</i> ]	60
*** [ <i>Wszystko się już zdarzyło.</i> ]	61
*** [ <i>W internecie znajduję zdjęcia...</i> ]	62
*** [ <i>„Moje picie to jest noc księżycowa, wielkie uspokojenie”</i> ]	63
*** [ <i>Z nudów postanawiam obliczyć odległość od plaży do horyzontu.</i> ]	64
*** [ <i>Kto się nudzi, ten nigdy nie zazna nudy.</i> ]	65
*** [- <i>Puchatku?</i> ]	66
*** [- <i>W czym mogę pomóc?</i> ]	67
*** [ <i>Jestem z Ciebie dumna!</i> ]	68
*** [ <i>Dochamianie.</i> ]	69
*** [ <i>Pamiętacie doradcę finansowego...</i> ]	70
*** [ <i>Coraz bardziej nienawidzę świata.</i> ]	71
*** [ <i>Pakujemy zapiaszczone ubrania...</i> ]	72
*** [ <i>Odliczamy minuty do odjazdu.</i> ]	73
*** [ <i>W pociągach najbardziej nie lubię kibli.</i> ]	74
*** [ <i>Stało się. Wyrósł we mnie menel.</i> ]	75

Biblioteka Prozy Współczesnej  
tom 4

*Redaktor serii*  
Mariusz Grzebalski

*Redaktorka*  
Natalia Słomińska

*Autor okładki i koncepcji graficznej*  
Piotr Zdanowicz

*Skład, łamanie*  
Dorota Bojkowska

*Korektor*  
Patrik Szaj

© Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej  
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu

© Marcin Orliński

Poznań 2014

ISBN 978-83-64504-16-7

*Wydawca*  
Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej  
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu  
60-819 Poznań, ul. Prusa 3  
tel. (61) 664 08 75  
e-mail: [wydawnictwo@wbp.poznan.pl](mailto:wydawnictwo@wbp.poznan.pl)  
<http://www.wbp.poznan.pl>

Instytucja kultury Samorządu Województwa Wielkopolskiego

Wydanie I

Książka powstała dzięki stypendium,  
które autor otrzymał w Programie Młoda Polska 2014



*Druk i oprawa*  
Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN  
im. Stanisława Kulczyńskiego Sp. z o.o.  
ul. Lelewela 4  
53-505 Wrocław